

Krysta, moja miłość

W przygotowanym przez Konstantego A. Jeleńskiego i Dominique de Roux numerze „Cahier de l'Herne”, poświęconym Gombrowiczowi, zamieszczono dość dokładny życiorys pisarza autorstwa jego samego.

Pod datą roku 1926 wspomniał:

Jego pierwszą miłością jest młoda sąsiadka brata Jerzego, mieszkającego w majątku we Wsoli. Spotykał się z nią w nocy, ryzykując swoim życiem – przechodził przez wąski i niebezpieczny most, szedł dla niej 8 kilometrów na piechotę. Spotykali się nieregularnie, lecz miłość trwała kilka lat.

W listach do brata Jerzego, znajdujących się obecnie w Instytucie Badań Literackich, pisał:

23.01.57 (...) Najbardziej interesuje mnie Krysta, moja eks-miłość. (...) Napiszcie mi coś niecoś na te tematy...

14.01.57 (...) I ja wiele rzeczy wspominam ze Wsoli: tenis, ping-pong z Olenią, Krystą (co porabia?), mam stamtąd rzeczywiście miłe wspomnienia.

7.11.57 (...) Co się dzieje z Krystą? napiszcie mi o niej i prześlijcie adres, może się do niej odezwę...

Z listów do brata Janusza przechowywanych w Muzeum Literatury:

25.06.62 (...) Napisz mi przy sposobności więcej o Kryście Janowskiej, dawnej mojej flamie. Nie rozumiem, dlaczego pracuje w wypożyczalni książek, ja wyobrażałem sobie, że wyszła za mąż za Konarskiego i siedzą w Bartodziejach, tak mi pisał bodaj Jurek. Czy ma dzieci?

W stosunku do istot z tego świata, co ona, nie zgłaszam pretensji – to są istoty, którym raczej przystoi niewiedza we wszystkim, co mnie tyczy.

* * *

Pani Krystyna Konarska z domu Janowska jest dziś starszą panią*, ma troje dorosłych dzieci, kilkoro wnuków. Jest już wdową, mieszka w Warszawie.

* Zmarła w 1991 r.

Niezbyt chętnie zgodziła się na rozmowę o swojej znajomości z Witoldem. Przeszło półtora roku wymawiała się brakiem czasu, potem znów brakiem ochoty na wspomnienia o „tym dziwaku i oryginale”. Nie widziała też sensu rozmowy – tyle już przecież o nim napisano! Z nią wprawdzie nikt nie rozmawiał, ale nie uważała tego za wystarczający powód do spotkania.

Zgodziła się wreszcie, przede wszystkim jednak ze względu na pamięć o jego rodzinie, którą dobrze знаła. Do dziś ma dla niej ogromny szacunek. Przyjaźniła się z nieżyjącym już Jerzym Gombrowiczem, jego żoną.

* * *

Trudno powiedzieć, gdzie i kiedy poznała Witolda.

– Wydaje mi się – mówi – że znaliśmy się od zawsze.

Znali się bowiem ze sobą ich rodzice. Państwo Janowscy mieli Bartodzieje koło Radomia, Gombrowiczowie – Małoszyce koło Opatowa. Trochę za daleko na bliższe kontakty, bywali jednak u wspólnych znajomych – państwa Maleszewskich. Zresztą w środowisku sandomierskich ziemian wszyscy znali się przynajmniej ze słyszenia.

A później państwo Gombrowiczowie zaczęli bywać w Bartodziejach. Jeszcze dziś stoją przed dworem ich prezenty dla rodziców panny Krystyny: wielkie marmurowe wazy na kwiaty z fabryki wyrobów kamieniarskich w Dołach koło Ostrowca, własności Gombrowiczów.

Odwiedzali Bartodzieje podczas swoich pobytów u syna Jerzego. W 1924 Jerzy Gombrowicz ożenił się bowiem z jedną z najlepszych partii w Radomsku – panną Aleksandrą Pruszkówną z Wośnik, zamieszkał z nią we Wsoli. Panna Krystyna często tam bywała – ze Wsoli do Bartodziejów było przez łąki najwyżej cztery kilometry. Olenia była jej dobrą przyjaciółką, a Jerzy dla wszystkich gościnny i niebywale towarzyski. Właśnie u Jerzych widywała Witolda, szczególnie latem przyjeżdżał często do brata i bratowej.

Razem z nimi oraz ich znajomymi bywał również w Bartodziejach.

– Jerzy zapowiadał się w maju na grzyby – wspomina brat pani Konarskiej, Józef Janowski. – Grzybów oczywiście jeszcze nie ma, mówiliśmy, lecz to nie powód, żebyś do nas nie wpadł...

Zjawiał się zwykle z całym towarzystwem, choć i tak w Bartodziejach zawsze było rojno i gwarno. Pełno gości, letników – państwo Janowscy przeznaczyli część swego domu na dochodowy pensjonat. Nigdy nie brakowało też młodzieży. Pannę Krystynę odwiedzały koleżanki z okolicznych dworów, chociażby Wanda Przyłęcka z Bierwiec, Ludwika Lewandowska z Dąbrówki Podłężnej. Z sąsiedztwa przyjeżdżali koledzy Józefa, brata panny Krystyny: Antoni Arkuszewski z Chruściechowa, Maciej Pruszek z Wośnik, trzech młodych Daszewskich z Orańska i inni.

Spotykała też Witolda podczas swoich pobytów w Warszawie. Tak naprawdę, tam się właśnie poznali u którychś „znajomych znajomych”. Kilka

razy odwiedziła również mieszkanie państwa Gombrowiczów na Służewskiej. A jednej z zim widywała się z Witoldem w pensjonacie „Mirabella” w Zakopanem, gdzie przyjechała razem z ojcem.

Przebywali zwykle w większym towarzystwie. Rozmów i spotkań w cztery oczy było bardzo niewiele.

– Naprawdę nie łączyło nas nic poważniejszego. Po prostu bardzo mu się podobałam, i to wszystko.

Dobrze o tym wiedziała. Dawał jej to nieraz do zrozumienia, wspominał w listach pisanych z Warszawy (dawno gdzieś zginęły, specjalnie ich nie przechowywała).

Zresztą dziewczęta zawsze takie sprawy wyczuwają.

Jej znajomi z tego okresu, żyjący do dziś sąsiedzi z okolic Bartodziejów, chociażby pani Wanda Przyłęcka, pan Antoni Arkuszewski, podkreślają, że panna Krystyna podobała się mężczyznom, miała spore powodzenie, wielu konkurentów. Prezentowała typ urody przypominający Ritę Gombrowicz, późniejszą żonę Witolda. Była do niej podobna. Szatynka z dużymi oczami, wysoka, zgrabna, szczupła. Bardzo wysportowana – jeździła świetnie konno, na nartach, grała w tenisa. Inteligentna, czasem nawet ostra w sądach. Elegancka, zadbana, szykowna – najpiękniej wyglądała w stroju do konnej jazdy. Korzystnie odbijała od jasnowłosych, pulchnych, ociężałych i „słodkich” ziemiańskich panien.

– Zazdrościłam jej zawsze sukienek – wspomina pani Wanda Przyłęcka, mieszkająca dziś w Radomiu. – Miała te z drogich warszawskich firm. Państwo Janowscy bardzo dbali o dwójkę swoich dzieci, o ich wychowanie, wykształcenie, rozrywki. W karnawale na przykład zawsze jeździli z córką na bale. Tak samo też chuchali na Bartodzieje – dwór, park, sad zawsze były wypielęgnowane, wypracowane.

Pamiętam, razem z Witoldem obserwowaliśmy Krystynę z werandy „Mirabelli” w Zakopanem. W zgrabnym stroju narciarskim mknęła na nartach, o których nie mieliśmy pojęcia – byłam w długim zimowym palcie. Witold w grubej, ciężkiej bekieszy na baranie. – Szykowna dziewczyna! – rzucił z uznaniem.

– Nigdy nie mówił mi o swoich uczuciach – wspomina pani Konarska. – Nie deklarował się poważnie ani nie wspominał o małżeństwie. Nie starał się bardziej mnie sobą zainteresować, przywiązać do siebie.

Najwyraźniej chciał być sam. I w sumie, choć podobała mu się – trzymał się jednak z daleka.

W ogóle, poza nią, dziewczęta specjalnie go nie interesowały. Nie słysząc było – tak jak o innych chłopcach – że flirtował z tą, spotykał się z tamtą.

Także panna Krystyna nie myślała o Witoldzie poważnie. Trudno było przecież wiązać z nim najmniejsze nawet nadzieje na wspólne życie. Przyszłość z kimś takim absolutnie nie wchodziła w rachubę. Zbyt wiele jego cech ją raziło. W rezultacie – i ona trzymała się od niego z daleka.

– Był po prostu z innego, obcego mi świata. Nie tylko ja czułam jego inność. Pochodził wprawdzie z tego samego środowiska, wyraźnie jednak się od niego różnił.

Przed wszystkim drukował już wtedy w prasie artykuły, recenzje, felietony, wydał „Pamiętnik z okresu dojrzewania”, potem „Iwone”. Trudno ukryć, że radomscy ziemianie uważali jego twórczość za co najmniej osobliwą, jej autora za dziwaka. A takie opinie nie mogły przecież zachęcać do niego panny Krystyny, utożsamiała się w pełni ze swoim środowiskiem, to był jej świat.

(...) przyzywałem ja, dzisiejszy Gombrowicz, tamtego dalekiego mego protoplastę – pisał potem w „Dzienniku” – w całej jego drżącej i młodej bezbronności. (...) Więc przypominałem sobie jak, na przykład, pewnego wieczoru pojechał on – ja – w sąsiedztwo do Bartodziej na zabawę, gdzie była osoba, która jego – mnie – wprowadzała w stan oczarowania i przed którą ja – on – chciałem wykazać się, zabłysnąć; i to było mnie – jemu – koniecznie potrzebne. Ale wchodzę do salonu a tam, miast podziwu, politowanie ciotek, żarty kuzynek, grubawa ironia tych wszystkich okolicznych ziemian. Cóż się stało?! Stało się, że Kaden-Bandrowski „zjechał” jakąś moją nowelkę w słowach zresztą pełnych pobłażliwości, ale nieduwornie odsądzając mnie od talentu. I ta gazeta wpadła im w ręce. I oni uwierzyli jej, bo przecież „pisarz, zna się na rzeczy”. Więc tego wieczoru nie wiedziałem, rzeczywiście, gdzie się schować.

Nie pokazywał nigdy tego, co pisał, specjalnie o tym nie opowiadał. Chłopcy go krytykowali, zarzucali nielojalność i niehonorowość – wyśmiewa ziemiaństwo, któremu wszystko zawdzięcza. Dobrze mu szydzić, gdy utrzymują go rodzice. Czasem jednak, gdy spacerowali lub rozmawiali wyłącznie we dwójkę, opowiadał jej swoje nowe pomysły na nowelę czy powieść.

– Kto cię będzie czytał, Witoldzie – martwiła się – gdy opiszesz te okropieństwa? Dlaczego tylko one cię interesują?

– Bo nic innego nie chcą drukować – śmiał się.

Rzeczywiście, pomysły miał dziwaczne, koszmarnie, często obrzydliwe. Sporo ich było przecież w „Pamiętniku”, nie mówiąc już o „Ferdydurke”. Szalenie ją raziły, a lubił też w ten sposób żartować.

W Bartodziejach przyłapał kiedyś jedną z panien na wąskich i krętych schodach; zapowiedział, że gdy zrobi jeszcze jeden krok niżej – utnie jej nogę! Przyniósł skądś wielki sekator i groził nim dziewczynie, która ze strachu bała się nawet mocniej odetchnąć. Wybawili ją dopiero goście, wchodzący akurat do sieni.

Gdy pomagał czasem wiązać krawat ojcu panny Wandy Przyłęckiej – udawał, że za chwilę go udusi. Podwiązywał mu krawat niemal pod brodę,

* Instytut Literacki, Paryż 1971, t. 1, s. 101.

ściskał, rozluźniał. Pastwił się po prostu nad starszym człowiekiem i bardzo go to bawiło.

Choć panna Krystyna raczej go onieśmielała, zdarzało mu się zwierzyć jej ze spraw, które co najmniej ją żenowały. W Zakopanem opowiedział na przykład, że nie ma ochoty wracać do domu. Stał się bardzo poważnie z ojcem, napisał bowiem, czy też tylko powiedział, że nie rozumie właściwie stosunku między kobietą a mężczyzną. Pan Gombrowicz zareagował wtedy niezwykle ostro – martwił się dziwactwami najmłodszego syna. Witold jakoś to w końcu załagodził, choć sytuacja nadal była napięta. Cóż jednak mogła mu powiedzieć czy poradzić? Raziło go przecież wszystko, co normalne i zwyczajne.

Szydził na przykład, że w każdym ziemiańskim domu jest identycznie pod każdym względem. W Bartodziejach, Chruściechowie, Wsoli. Dwór, park ze szpalerem drzew, staw, sad. Takie samo urządzenie wnętrz. I gdzie się nie przyjdzie – najpierw obiad, potem kawa w salonie, spacer po parku, kolacja, brydż...

Nie mogło mu również zjednać jej sympatii towarzystwo, w którym obracał się w Warszawie. Ci wszyscy aktorzy, pisarze, poeci. Znał między innymi Czajkę i różne młode poetki, aktorki o niezbyt surowych obyczajach, obyte, wygadane, nowoczesne. Chodził po znanych kawiarniach i lokalach. To wszystko onieśmiało nawet ziemiańskich chłopaków, a co dopiero mówić o dziewczynie.

Większość panien nawet się go bała. Mógł przecież ośmieszyć, wydrwić, a te naiwniejsze lubił bardzo dręczyć.

– Nigdy się go nie bałam – mówi pani Krystyna. – Mnie bowiem wyraźnie oszczędzał. Wiedziała, że mnie na pewno nie zrani, nigdy zresztą tego nie zrobił. Nie było o tym mowy. Mimo to nie czułam się przy nim bezpieczna.

Tak samo jak i reszta panien, tak że niektóre z nich nawet się specjalnie w jego towarzystwie nie odzywały, żeby nie narazić się na nieoczekiwany obrót rozmowy.

– Porozmawiajmy lepiej na tematy seksualne – proponował na przykład pannie Wandzie Przyłęckiej. A ona bladła i rumieniła się. Wstyd przyznać, była bardzo naiwna, nie miała pojęcia, co to za sprawy, czuła jednak, że chyba nieprzyzwoite...

Nazywał pannę Wandę Przyjaźnią lub Przyjazną, co też ją krępowało, lecz gdy protestowała, proponował: – To może lepiej Czułość?

– Przyjazna – mówił na spacerze w Zakopanem – kupię ci coś na szyję...

Po czym kupował mydełko. Nie wiedziała, jak reagować. Może ma rzeczywiście niezbyt czystą szyję? A może powinna się obrazić? Choć dziś oczywiście zaśmiałyby się, to wszystko.

– Kiedy ostatni raz ugryzła panią jemioła w udo? – pytał śmiertelnie poważnie, albo: – Czy i do pani wpadają kwiczoły przez otwarte okna?

Prawie żadna nie zdobyła się na jako tako sensowną odpowiedź, nie wiedziała, czy mówi serio, czy żartuje. A z kwiczołami chodziło mu po prostu

o to, że podczas pobytów we Wsoli dostawał pokój gościnny, którego okna wychodziły na świniańnik. Kwiki świń faktycznie „wpadały” mu przez okno.

Którejś pannie groził, że opisze ją w gazetach. Skłamię, że składał jej nieprzyzwoite propozycje, a ona chętnie przystała. Wymyśli list, opublikuje i skompromituje jej część do końca życia. Umierała ze strachu, wierzyła, że to robi – pisywał przeciw artykuły.

Nie oszczędzał nawet swego brata. Drwił z zamilowania Jerzego do woj-ska, które było dla Witolda instytucją najbardziej chyba obcą. Jerzy natomiast skończył szkołę wojskową w Grudziądzu, miał stopień porucznika, nosił mundur, a na zabawy i polowania we Wsoli zapraszał wielu wojskowych.

Istniała też między braćmi cicha rywalizacja. Jerzy był bardzo błyskotliwy i w towarzystwie lubił gasić Witolda. Raczej mu się to udawało – Witold bowiem był mniej swobodny i naturalny, wrażliwy na krytykę. Bił jednak brata oryginalnością poglądów i powiedzeń. Właściwie może nie chciał dokuczać, tylko powiedzieć coś nadzwyczajnego. Gdy zupełnie nie miał już konceptu, deklamował w kółko ułożony przez siebie wierszyk:

W małym, cichym ogródku, gdzie rosły białe i czerwone róże,
mieszkał pewien duchowy nonkonformista,
który nigdy, nigdy nie był w Wimbledon.
Siedząc często nad kryształową tonią, powtarzał:
czemuż, ach czemuż nie byłem nigdy w Wimbledon?
Pewnego razu znaleziono trup,
a w jego kieszeni nic, jak tylko bilet
do Mackenzie i z powrotem.
Tak oto żył i zginął ten błady król Bimentalistów.

– Witoldzie, co to wszystko znaczy? – pytali, sam jednak nie bardzo wiedział. – A dlaczego Bimentalistów?

– Bo to bardzo piękny wyraz, ja go wymyśliłem.

Panna Krystyna interesowała się nim więc wyłącznie w sensie towarzyskim. Jako egzotyczną ozdobą salonu. I nie tylko ona. Z urody bardzo się pannom podobał, nigdy jednak nie myślały o nim tak jak o innych chłop-cach. Nie widziały go jako ewentualnego narzeczonego, męża, ojca dzieci, głowy rodziny. Szokował zbytnio innością i dziwacznością.

Nawet panna Marynia Arkuszewska trzymała się od niego raczej z daleka. Choć tylko ona mogła być dla niego partnerką. Bardzo inteligentna, my-śląca, czytana. Potrafiła mu odpowiedzieć, zmiażdżyć nawet.

W dyskusjach, a także – jak mówił – tworzeniu intelektualnego nastroju był zdecydowanie najlepszy.

– Najchętniej właśnie – wspomina pani Konarska – wyciągał mnie na spacer i rozmowy.

W innych dziedzinach natomiast znajdował się w tyle za swoimi rówieśnikami. Przede wszystkim nie tańczył, co było wtedy wielką wadą kawalera. Podpierały ściany jedynie wyjątkowe fajtlapy. Bale, zabawy, kuligi urządzano przecież nie tylko w karnawale.

– Na jednym z wieczorków u państwa Gombrowiczów w Warszawie ojciec Witolda bardzo go namawiał, żeby choć raz ze mną zatańczył. Cierpiał, że syn nie tańczy, nie bryluje wśród panien, ale ten wymawiał się, że nie lubi frote rować podłóg, nie ma słuchu, nie wie, jakie stawiać kroki. W końcu poprosił mnie jednak do tańca, lecz męczył się wyraźnie. Czerwony, zawstydzony, niezgrabny, co i raz zerkający w wielkie lustra na ścianach, żeby sprawdzić, jak wyglądamy. Byłam z nim równa, na obcasach wyższa, co szalenie go peszyło.

Jedyny sport, jaki uprawiał, to tenis. Grał nawet nieźle, często grywał z panną Krystyną – we Wsoli i Bartodziejach były korty tenisowe. Poza tym nie grał w karty, nie jeździł konno, choć potrafiły to nawet panny. Gdy pędzili gdzieś z całym towarzystwem, Jerzy Gombrowicz krzychał na całą okolicę: „A na przodzie jedzie Krysia, jedzie Krysia, co ma hysia...”

Pani Wanda Przyłęcka pamięta, że Witold bał się konia. Gdy przyjechała kiedyś konno do Wsoli, chciał ją zatrzymać. Złapał konia za uzdę, lecz gdy ten mocno zarżał, natychmiast go puścił, cofnął się kilka kroków.

Nie pływał, nie jeździł na nartach. W „Mirabelli” pokpiwał niby z narciarzy, że to bez sensu – zimno, można złamać nogę. Wyraźnie jednak im zazdrościł. Jeździła zdecydowana większość młodzieży, także i panny. On tymczasem zostawał z tymi, które nie umiały, albo z chorymi, którym zalecano wyłącznie leżakowanie. Nudził się więc ogromnie, czekał, aż wróćą narciarze.

Leżakował bowiem całymi dniami na werandzie, przekomarzał się z pannami, aż znudzony – jak mówił – jałowością ich umysłu szedł do sąsiedniego pensjonatu „Nôtre-Dame” na szachy ze znajomym Żydem. Najczęściej jednak wyciągał na spacer pannę Wandę Przyłęcką. Przyjechała wprawdzie do „Mirabelli” z siostrą, lecz ta była akurat bardzo zakochana i nie chciała im towarzyszyć. Pisała tylko do narzeczonego albo czytała listy od niego. Witold zaglądał nawet przez dziurkę od klucza, żeby sprawdzić, czy czyta je z wypiekami na twarzy. Gdy obie wyjechały, wysłał im kartkę:

Dobra Przyjaźni! Przesyłam obu Paniom cały pakiet najwytworniejszych komplementów i miłych słów z leżaka, na którym tarzam się w samotności.

Próbował nawet uczyć się jeździć na nartach, ale nie miał, jak inni chłopcy, krótkiej kurtki, w swojej długiej bekieszy przewracał się tylko, co go szybko zniechęciło.

Mimo to nie wstydził się swego niedołęstwa albo też tylko tak udawał. – Przyjechał kiedyś linijką do Bartodziejów – wspomina Józef Janowski. – Było dość późno, a ponieważ nie zapowiedział się wcześniej, spuściliśmy już więc psy z łańcuchów. Dopadły go, gdy tylko wysiadł. Przerażony wdrapał się na płot i dał się tak, że go usłyszeliśmy, wyszliśmy i odgoniliśmy psy. „Zaglądałem już śmierci w oczy” – przechwalał się potem, dramatyzując całą historię.

Żaden inny kawaler, który przyjeżdżał z wizytą do panny, za nic nie przyznałby się, że przestraszył się psów, nie krzyczałby, nie uciekał przed nimi na płot. Raczej dałby się pogryźć.

Mimo to Witold nadal drwił z „młodych, pocziwych ziemian”.

– Mieliliśmy więc tak tego dość – mówił Józef Janowski – że razem z kolegami zagroziliśmy mu kiedyś porządną „kocową”. Przestraszył się widać i dał nam jaki taki spokój. Nie miał szans – był jeden, a nas wielu.

Krystyna Konarska nie przypomina sobie (albo też nie chce sobie przypomnieć) żadnych spotkań z Witoldem w nocy, o których pisał w „l’Herne”. Co do mostu natomiast, przesadził wyraźnie. Owszem, między Wsolą a Bartodziejami płynęła rzeczka, lecz niewielka i niegroźna. Most był na niej chybottliwy, niezbyt solidny, ale bezpieczny. Nie istniało żadne ryzyko, robił tymczasem z siebie bohatera. Choć może rzeczywiście bał się tamtędy przechodzić? Nawet dość prawdopodobne, nie wstydził się najwyraźniej swoich lęków, co też ją w nim raziło. Był w końcu mężczyzną.

– Rozumiałam – mówi – że jest inny, ciekawy, oryginalny. O wiele lepiej czułam się jednak w towarzystwie zwyczajnych chłopców z sąsiedztwa.

I jednego z nich wybrała sobie w końcu na męża. Najpierw zaręczyła się z panem Grodzińskim z Oblasu, ale potem zerwali. W 1934 roku wyszła szczęśliwie za mąż za Stanisława Konarskiego z Klucze wska, pięknego majątku słynnego z hodowli bażantów. Urodziła trójkę udanych dzieci: dwóch synów i córkę. I nawet nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała Witolda.

On zresztą coraz rzadziej pojawiał się we Wsoli. Miał początkowo aplikować u ojca Wandy Przyłęckiej, znanego w Radomiu adwokata. Byłby jego dependentem – tak to się wtedy nazywało.

– Już się z tego cieszyłam – mówi pani Przyłęcka – lubiłam Witolda i aplikanci ojca zawsze dotrzymywali mi towarzystwa.

Nic jednak z tych planów nie wyszło. Palestra radomska nie zgodziła się na jego kandydaturę, a kandydatów miała sporo. Zaszko dziła mu opinia zbyt nowoczesnego liberała, nie bez „winy” był także Jerzy Gombrowicz, który cieszył się wspaniałym darem wymowy, elokwencją, humorem. Radomscy adwokaci sądzili, że jego brat jest najprawdopodobniej taki sam. Przestraszyli się konkurenta.

* * *

Po wojnie Krystyna Konarska mieszkała z rodziną w Warszawie. Mąż miał dobrą posadę w Ministerstwie Rolnictwa, ona natomiast zajmowała się dziećmi. Dopiero gdy podrosły, zaczęła pracę w prywatnej wypożyczalni książek.

Nadal utrzymywała kontakty z „Jerzami”, którzy mieszkali teraz w Radomiu, lecz odwiedzali czasem Bartodzieje i gospodarującego tam jej brata.

Los oszczędził bowiem miejsce, gdzie Witold Gombrowicz przyjeżdżał „z bijącym sercem”. Jeszcze w roku 1938 ojciec pani Krystyny rozparcelo-

wał sporą część majątku, zostawił jedynie pięćdziesiąt hektarów – i tak dochody pochodziły głównie z pensjonatu. Jak się okazało, „miał nosa”. Reforma rolna po wojnie oszczędzała majątki nieprzekraczające właśnie pięćdziesięciu hektarów. Oprócz nich rodzinie Janowskich został także – ku zazdrości i goryczy innych – dwór, park, sad.

W praktyce parcelowano jednak nawet mniejsze majątki. Projekt parcelacji Bartodziejów też już był gotowy, z dworu zaczęto zrywać dach. Pan Józef Janowski uratował wtedy rodzinny majątek, powołując się na swoje wojenne zasługi – był w końcu porucznikiem II Armii Wojska Polskiego. Chcąc nie chcąc, miejscowe władze musiały się z tym liczyć, ale żeby za bardzo nie przewróciło mu się w głowie, umieściły w dworku w Bartodziejach Radę Narodową, posterunek MO i milicjanta z rodziną. Józef Janowski z żoną nie palili przez całe zimy w piecach, tłumacząc się trudnościami z opałem. Sami bardzo marzli, ale udało im się w końcu wykurzyć Radę i posterunek – poszukali sobie cieplejszych lokali. Zawzięła się tylko milicyjna rodzina, siedziała w oficynie całe trzynaście lat.

Najtrudniej było utrzymać majątek w latach pięćdziesiątych. *Duch przeszłości straszy w Bartodziejach* – pisało miejscowe „Słowo Ludu”, nazywając ich ostatnimi krwiopijcami, wrzodami na ciele demokratycznego społeczeństwa. Któregoś dnia otrzymali zawiadomienie, że z dniem tym i tym w ich salonie mieścić się będzie świetlica tutejszego ZMP. Przegrodzili więc szybko salon na dwa małe pokoje. Gdzie mogli, chodzili na skargę. To przecież zabytek pełen antyków, w sadzie szklarnie, a młodzi wiadomo – popijają się, poniszczą.

– Pilnujcie! – słyszeli w odpowiedzi.

Uratował Bartodzieje Jerzy Gombrowicz, świetnie do nowych warunków zaadaptowany. Wszędzie miał znajomych.

Nie udało mu się wprawdzie wybronić dworku przed przymusowymi lokatorami, zamienił ich jednak na znośniejszych. Dzięki znajomym w Związku Artystów Plastyków zorganizował w Bartodziejach dom pracy twórczej dla artystów, który przetrwał tu trzy lata. Państwo Janowscy odetchnęli. Do Bartodziejów przyjeżdżali teraz profesorowie ASP, malarze, graficy. Ludzie kulturalni, inteligentni, doskonale układający stosunki z gospodarzami. Nie było mowy o zniszczeniach. Przeciwnie, przybyło kilka cennych prac, syn państwa Janowskich nosił za artystami blejtramy, w wieku ośmiu lat potrafił dyskutować o taszyzmie.

A dziś w Bartodziejach jest tak, jakby stanął czas.

Piękny dwór pełen starych mebli, rodzinnych pamiątek. Park, sad ze szklarniami. Nadal gospodarzy pan Józef Janowski z dorosłym już synem. Pokryli niedawno dach dworu nową blachą, a zdobyć teraz blachę to cud. Dbają, jak mogą, mimo to dwór jest w coraz gorszym stanie. Na jego generalny remont potrzebne są bowiem miliony. Starali się wprawdzie o uznanie go za zabytek pierwszej klasy i uzyskanie tym samym państwowych fun-

duszy na remont. Już same te zabiegi były bardzo kosztowne – architekt oraz historyk sztuki musiał przecież opisać i wycenić każdą rzecz. Wszystko jednak na nic, nie udało się. Choć jest to rzeczywiście cenny zabytek – został wybudowany na przełomie XVIII i XIX wieku jako pałacyk myśliwski rodziny Gordonów; naokoło przecież Puszcza Kozienicka. Należał potem do rodziny Strojanowskich, później Maleszewskich*.

* * *

W roku 1971, kiedy zmarł Jerzy Gombrowicz, umarło także życie towarzyskie dawnych, okolicznych ziemian. Skończyły się wizyty w Bartodziejach, brydże u Wandy Przyłęckiej w Radomiu. Krystyna Konarska straciła ostatecznie kontakt z Gombrowiczami.

Choć Witold prosił w listach do Jerzego o jej warszawski adres, nie napisał do niej. Uważała to jednak za niewielką stratę. Bardzo nie lubi wspomnień nie tylko o nim, lecz w ogóle o „tamtym świecie”. Przeszło, minęło, jest zupełnie co innego. Nawet dzieciom nie mówiła o swojej z nim znajomości. Po co? Jest po prostu ostatnio modny, stąd ten szum.

Jej zdaniem, trzeba żyć teraźniejszością. Pomagać dzieciom, zajmować się wnukami. Robić zakupy, z którymi takie teraz przecież kłopoty.

Na wspomnienia naprawdę nie ma miejsca.

* * *

W dalszym ciągu noty biograficznej dla „l'Herne” Gombrowicz pisał m.in.:

Rok 1926 – *Pierwsze flirty z kuzynkami i przyjaciółkami siostry, którym dokuczał za ich żarliwy katolicyzm.*

Rok 1936 – *Miłości z kucharką.*

– *Flirt z młodą i piękną poetką.*

Rok 1941 – *Doświadczenia homoseksualne z młodymi chłopakami z ludu Buenos Aires.*

– *Miłości z córką poety.*

Rok 1964 – *Pobyt (...) w opactwie Royaumont, gdzie poznaje młodą Kanadyjkę, studentkę Marie-Rita Labrosse.*

Rok 1968, 28 grudnia – *poślubia swoją towarzyszkę Marie-Rita Labrosse.*

Słowa miłość użył tylko raz. Nigdy więcej.

* W 1988 r. syn Józefa Janowskiego, Tadeusz, na skutek trudności finansowych był zmuszony sprzedać Bartodzieje.